Rok XVI. — Nr. 3. Marzec 1908.


Św. Piotrze Klawerze, Apostole murzynów, módl się za nich i za nasze dzieło!

Echo z Afryki.

Błogosławione przez Ich Świątobliwości Leona XIII i Piusa X.

Administracya: Kraków, ul. Św. Anny, 4.

Prenumerata roczna: K. 1·50; M. 1·20; R. 1.

W pierwszy wtorek każdego miesiąca odprawia się za żyjących i zmarłych prenumeratorów „Echa“ przez jednego z XX. Misyonarzy w Afryce Msza św. cicha.

ZADANIE NIEWIAST KATOLICKICH W DZIELE MISYJNEM.

Przez O. Friedricha, T. J., byłego misyonarza afrykańskiego.

(Ciąg dalszy. — Patrz „Echo“ Nr. 2).

II. Pośredni udział kobiet katolickich w misyach wśród pogan.

Ze względu na stanowisko zajmowane przez niewiastę, udział jej w misyach pogańskich będzie przeważnie pośredni, polegający na dostarczeniu potrzebnych środków. Już sama podróż misyonarza jest kosztowną, a gdy wreszcie przybędzie on szczęśliwie na miejsce swego przeznaczenia, to w najpomyślniejszym z wypadków znajdzie to, co jest koniecznem do życia, ale co się tyczy kościoła i szkoły, to nawet u dawniej nawróconych ludów napotka liczne braki, zwłaszcza w Afryce, gdzie nieraz latami całemi trzeba się zadawalniać lichą chatką, ulepioną z gliny, która zaledwie daje jaką taką ochronę przed dzikiemi zwierzętami i żarem słońca. W porze deszczowej, trwającej tam od trzech do czterech miesięcy, pobyt w takiem wilgotnem mieszkaniu jest bardzo szkodliwy dla zdrowia, a także bardzo przykry z powodu nawiedzin różnych natrętnych gości: szczurów, termitów, żmij i t. p., co jest zwłaszcza uciążliwem dla chorych na febrę, a często, zakłócając spokój nocny, staje się samo powodem gorączki. Aby więc nie narażać życia na pewną śmierć, trzeba przedewszystkiem zacząć od wystawienia

porządnego domu mieszkalnego, a potrzebną do opłaty bawełnę sprowadzać może z bardzo wielkiej odległości. Trzeba także postarać się o przyzwoitą kaplicę, któraby wystarczyła przynajmniej na pierwsze lata. To wszystko powoduje znaczne wydatki zanim jeszcze misyonarz może rozpocząć swoją pracę apostolską. Wkrótce łączy się z tem utrzymanie wychowanków misyi, a gdy wskutek posuchy lub szarańczy wybucha klęska głodowa, misyonarz nie może pozostać obojętnym, ale musi wytężyć wszystkie swe siły, aby przyjść z pomocą srodze znękanej ludności.

Lecz skąd wziąć środki, jeżeli z Europy nie przyjdzie prędka i wystarczająca pomoc? W podobnych wypadkach, które, niestety, zdarzają się w Afryce aż nazbyt często, wołanie misyonarza o pomoc, nie może przebrzmieć bezskutecznie, ale musi znaleźć oddźwięk we współczującem sercu chrześcijańskiem. Tu praktyka miłości bliźniego staje się naglącą koniecznością, a ktoby wobec takiego wołania pozostał obojętnym, ten winienby sobie przypomnieć słowa Zbawiciela: „Pókiście *nie* uczynili najmniejszemu z braci moich, pótyście *Mnie* nie uczynili.“ A któżby chciał wystawiać się na niebezpieczeństwo, że w dniu sądu usłyszy podobny wyrzut?!

Ma się rozumieć, że praktyka miłości bliźniego powinna być uporządkowaną tak, aby przy równej potrzebie pomocy, najbliżsi mieli pierwszeństwo. Ale gdzie potrzeba jest większą, gdzie dochodzi ona do ostateczności, tam nie należy już pytać się o to, czy potrzebujący jest rodakiem, czy cudzoziemcem, białym, czy czarnym, inaczej musielibyśmy wyrzucić z Ewangelii przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, a przecież wyszła ona z ust Tego, który nas będzie sądził. Tu byłoby miejsce wspomnieć o tak zgubnym nacyonalizmie, który pragnąłby coraz bardziej zakraść się nawet do katolickiej akcyi misyjnej wbrew powszechnej miłości, która powinna panować pomiędzy katolikami: ale wzmianka o przypowieści wystarczy, aby wszelki narodowy egoizm w dziełach miłości bliźniego, a szczególniej w dziele misyjnem — potępić, jako szatańskie złudzenie. Co zaś do niżej stojących kulturalnie murzynów, możnaby jeszcze podnieść zarzut, że nie zasługują oni na tyle ofiar. Ale czyliż ochrzczony murzyn nie jest także dzieckiem Bożem, bratem i współdziedzicem Chrystusa? Należy on do *najmniejszych* braci, lecz i ci nie powinni być wyłączeni z ogólnej miłości — i na nich patrzy Chrystus jako na swoich zastępców odnośnie do uczynków miłosiernych, których potrzebują. Należy także zważyć, że chodzi tu właściwie tylko o ratunek *nieśmiertelnych dusz,* tylko dlatego bowiem idą misyonarze na cały świat i nawet do morderczej Afryki, pełniąc rozkaz Chrystusa: „Idąc na wszystek świat, opowiadajcie Ewangelię wszemu stworzeniu“ (ludziom). A Chrystus rzekł: „I będzie przepowiadana ta Ewangelia królestwa po wszystkiej ziemi“ (Mat. XXIV, 14). Jeżeli więc tylu misyonarzy słuchając tych słów Chrystusa, udaje się także do murzynów Afryki, pomimo wszystkich trudów i niebezpieczeństw, grożących ich życiu, które tysiące już poświęciło w ofierze, czyliż będzie to zbyt wielkiem wymaganiem, by i pozostali w Europie

chrześcijanie złożyli przynajmniej w tym celu malutki datek ze swego mienia? Choćby nie żywili żadnego współczucia dla murzynów, powinni przecież ulitować się nad swymi misyonarzami. Wszystkie więc niewiasty wspierające w jakikolwiekbądź sposób działalność misyjną, n. p.: Stowarzyszenie Rozkrzewiania Wiary, Związek św. Dziecięctwa Jezusowego i t. p., pełnią prawdziwie zasługujący uczynek.

III. Siostra misyonarka.

Bezpośredni udział w pracy misyjnej w krajach pogańskich bierze *Siostra misyonarka:* pomaga ona misyonarzowi głównie zajmując się wychowywaniem młodzieży żeńskiej, bez której niemożliwem jest założenie uczciwych, chrześcijańskich rodzin. W krajach cywilizowanych wychowanie dzieci może być powierzonem krajowym chrześcijankom, co w Afryce rzadko tylko byłoby użytecznem. Tam muszą ująć sprawę w swe ręce europejskie Siostry misyjne, jeżeli chcemy ździałać coś gruntownie, murzyni bowiem zbyt są niestali i niepewni, i potrzebują nieustannego nadzoru. W tem też leży główna przeszkoda, jaką napotyka wykształcenie krajowego duchowieństwa i stanu zakonnego. Trzeba przyjrzeć się rzeczom z blizka, aby wytworzyć sobie o tem należyte pojęcie. Konieczność gruntownego wychowania młodzieży żeńskiej wypływa także stąd, że płeć żeńska w Afryce mniej jest przystępną dla chrześcijaństwa, aniżeli męska. Może uderzające to w oczy zjawisko tłómaczy się stanem niewolniczej zależności kobiety od mężczyzny; ludzie wolni również przyjaźniejsi są istotnemu chrześcijaństwu i więcej skłonni do przyjęcia go, aniżeli ci, którzy byli pierwej niewolnikami.

Że wpośród tych okoliczności bezpośredni udział niewiast chrześcijańskich w dziele misyjnem w Afryce miłym jest Bogu — to nie ulega żadnej wątpliwości. Faktycznie też pracuje wiele Sióstr misyjnych w Afryce z taką niezmordowaną wytrwałością i poświęceniem, że bez szczególnej pomocy łaski Bożej nie byłoby to możliwem, co jest także dowodem, że czynność ich w tej misyi podoba się Bogu. Jak potrzebną jest ta pomoc Sióstr misyjnych, to widzimy już stąd, że pomimo złączonych z tem znacznych ofiar pieniężnych, misyonarze gorliwie ubiegają się o nią. Lecz dlaczegóż bezpośrednie to współuczestnictwo niewiast w dziele misyjnem było dawniej nieznanem? Prawdopodobnie z powodu ciężkich trudności i niebezpieczeństw ówczesnych podróży morskich statkami żaglowymi. Płeć słabsza nie mogła być narażoną na podobne niebezpieczeństwa. Dzisiaj wszakże podróż po lądzie i morzu jest stosunkowo łatwą i pewną. Trud i znużenie daje się uczuć dopiero na miejscu przeznaczenia, gdy powab nowości minie, a brzemię dnia uciska coraz dotkliwiej. Pełnym fantazyi europejskim kandydatkom na Siostry misyjne życie w Afryce przedstawia się w trochę różowem świetle, gdy czytają barwne opisy jakiej dzielnej Siostry misyjnej, cieszącej się dobrem zdrowiem. W czasie epidemii febry, oraz innych nawiedzeń, które w okolicach równika bywają da-

leko częstsze, aniżeli w zdrowej stosunkowo i dobrze uprawnej kolonii kaplandzkiej, występuje dopiero proza na miejsce poezyi. Już sam brak wszystkich niemal wygód, do jakich przywykło się w Europie, wymaga wielkich ofiar, a pobyt między murzynami, których język przedstawia dla Europejczyków ciężkie do przełamania trudności, nie należy wcale do przyjemnych. Upał, zwłaszcza w porze południowej w polu, jest prawie nie do zniesienia, a i pod dachem nader uciążliwy; przez całe przeszło pół roku nie widzi się ani jednego zielonego źdźbła z powodu absolutnej posuchy. Częste febry i gorączki rodzą osłabienie, niedokrewność, przygnębiony nastrój i t. p. Prawda, że Bóg daje każdemu, kto jest tam, gdzie On go mieć chce, za wszystkie złączone z ich powołaniem ofiary, swoją pomoc i pociechę, tak, że wszystkie te uciążliwości daleko łatwiej się znoszą, aniżeli to sobie z oddali wyobrażamy. Czy jednak skutecznej tej pomocy doznają także te, które się samowolnie tam wcisnęły, to rzecz wielce wątpliwa: nie brak też bardzo smutnych doświadczeń w tym względzie. Przedewszystkiem więc idzie tu o prawdziwe powołanie. Gdzie tego niema, tam nastąpi wkrótce niezadowolenie, smutek, opieszałość, tak, że Siostra misyjna staje się raczej ciężarem, aniżeli pomocą, ponieważ zaś powrót do Europy trudniejszym jest, aniżeli przyjazd do Afryki, a w każdym razie niezawsze może nastąpić w najbliższej przyszłości, położenie zatem podobnie zawiedzionej dość jest przykre.

Jakże się okazuje prawdziwe powołanie? Przedewszystkiem trzeba posiadać potrzebne zalety: gruntowną cnotę, silną wolę, hartowne zdrowie. Delikatne panienki, zwłaszcza skłonne do melancholii, nie są odpowiednie dla misyj afrykańskich. Zwykle przejawia się powołanie Boże w wewnętrznem dążeniu i serdecznem weselu na myśl o ofierze, jaką się chce Bogu złożyć. Niedowierzanie własnym siłom, ufność w Bogu, pokorne pytanie się o radę rozumnych i doświadczonych kierowników sumienia: oto pewni przewodnicy i towarzysze powołania. Kto posiada prawdziwe powołanie, ten nie lęka się ofiary, ten mówi: „Wszystko mogę w Tym, który mię umacnia.“ Co mają wszakże czynić te, które nie czują wprawdzie powołania do bezpośredniej pracy misyjnej, radeby jednak z wielką chęcią poświęcić się zupełnie sprawie misyi w Afryce? Nie można im dać lepszej rady, jak tylko tę: „Przyłączcie się jak najściślej do Sodalicyi św. Piotra Klawera, która wytęża wszystkie swe siły w tej samej sprawie.“

Wielka doniosłaść tej nowej instytucyi zakonnej, każe nam o niej powiedzieć słów kilka. Informacye nasze czerpaliśmy nie z obcych źródeł, ale zawdzięczamy je własnemu doświadczeniu i przekonaniu.

(C. d. n.).



List z Seminaryum Misyonarzy afrykańskich.

Lyon, 2 października 1907 r.

Do hr. M. T. Ledóchowskiej, Założycielki i Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Niżej podpisani XX. Biskupi, Wikaryusze apostolscy i WW. OO. Prefekci, zebrani w Lyonie na walnem zgromadzeniu Stowarzyszenia misyj afrykańskich, korzystają skwapliwie, przed rozejściem się, z tej szczęśliwej sposobności, by Cię prosić, Czcigodna Pani, o przyjęcie wyrazów ich najżywszego podziwu i wdzięczności za to niezmordowane poświęcenie, z jakiem pracujesz dla murzynów afrykańskich i za to zajęcie szczególne, jakie podobało Ci się okazywać często biednym, najbardziej upośledzonym dzieciom Wybrzeża Niewolniczego.

Proszą więc oni gorąco, ażeby Boski Mistrz obsypał Cię nawzajem swem najobfitszem błogosławieństwem i żeby podtrzymywał Cię w tem przedsięwzięciu tak trudnem i pełnem zasług, którego się podjęłaś dla zbawienia Afryki...

Racz przyjąć, Czcigodna Pani, hołd naszej głębokiej czci i żywej wdzięczności.

† *Fr. S. Hummel,*
Wikaryusz apostolski Wybrzeża Złotego.

† *Franciszek Steinmetz,*
Wikaryusz apostolski Dahomeju.

G. Brediger,
Delegat X. Biskupa Langa, Wikaryusza apostolskiego Beninu.

C. Zappa,
Prefekt apostolski Nigru.

S. Kyne,
Prefekt apostolski Liberyi.

A. Hamard,
Prefekt apostolski Wybrzeża Kości Słoniowej.



OBECNY STAN MISYI W LANDANIE.
(Kongo portugalskie).

W. O. Kuentz, ze Zgrom. Ducha Świętego, podaje nam bardzo ciekawe szczegóły o misyi w Landanie. Przez długi czas grunt ten wydawał się wiekuiście bezpłodnym, ale oto nasienie się przyjęło, dojrzało i misyonarze cieszą się już szczęściem zbioru obfitego żniwa dusz.

Do „nowych to misyonarzy“ zwracają się zwykle chętnie, by módz podać dobroczyńcom ciekawe szczegóły o misyach: wrażenia ich bywają świeższe i pióro lżejsze.

Ale cóż wam powiem nowego o misyi starej już — i oddawna znanej?

Założenie misyi Landana sięga jeszcze 1873 r. Trzydzieści cztery lat istnienia i życia czynnego, dużo to dla ziemi afrykańskiej! A w ciągu tych trzydziestu czterech lat ileż modlitw, ileż westchnień, ileż łez wzniosło się ku niebu, błagając Boga, by się zlitował nad tą nieszczęsną rasą Chama, zdjął z niej klątwę i wprowadził do owczarni, aby dla niej także ziściła się piękna modlitwa Leona XIII, wyjęta z ust Boskiego Zbawcy: „aby stała się wkrótce jedna owczarnia i jeden Pasterz!“

Ileż trudów, ile potu użyźniło już tę rolę niewdzięczną, by pokryć ją gminami chrześcijańskiemi, które otaczają dzisiaj tak pięknym wieńcem misyę Landany.

Ale jeżeli misyonarz wytężał zawsze swe siły z równą żarliwością dla rozkrzewienia naszej świętej wiary, powodzenie niezawsze odpowiadało jego wysiłkom w tej samej mierze, co dzisiaj. Znajdują się w naszych okolicach wsie, gdzie jeszcze kilka lat temu, ani jedna żywa dusza nie chciała słuchać misyonarza! Odprawiano go uprzejmie ze słowami: „To dobre dla białych... i może dla naszych dzieci!...“ Dzisiaj mieszkańcy tych samych wsi zgłodniali są Prawdy: przywołują misyonarza wielkim krzykiem, błagając go, by rozbił swój namiot wpośród nich — i, co więcej: wielu z nich odrodziło się już w wodzie Chrztu św. W zeszłym roku cała czarna ludność jednej wsi wyrzekła się nagle fetyszyzmu, by przyjąć prawdziwą wiarę; dziś służą Bogu z prostotą i żarliwością, godną pierwszych chrześcijan. Ogólne to nawrócenie całego Poov Grande było świetnym tryumfem. Po wielu nocach pracy bezpłodnej był to połów tak obfity, że grozi zerwaniem sieci. Wieś Poov stała się ludem chrześcijańskim, wielkim w swej pobożności, wielkim w swem męztwie... i wytrwaniu...

Ucieszysz się zapewne, Czcigodna Pani, dowiadując się, że od pewnego czasu rozpoczął się nader szczęśliwy ruch w kierunku nawróceń, prawdziwe przebudzenie się wiary, wielce radujące serce misyonarza. Posiew Boży, rozrzucany pełnemi garściami przez długi szereg pokoleń misyonarzy, zaczyna kiełkować coraz gęściej i wydawać owoce coraz obfitsze. Bogu samemu cześć za to i chwała!



FETYSZER W UIDZIE (DAHOMEJ).

Nie trzeba myśleć wszakże, że oto nastał już dla nas złoty wiek apostolstwa, w którym dla pociągnięcia czarnych do naszej św. wiary, dość nam przebiegać wsie i chaty z dzwonkiem w ręku i Słowem Bożem na ustach. Byłoby to zbyt pięknie! Nie byłaby to już ludzkość, nie byłby to poganizm taki, jakim go uczynił grzech pierworodny, ta wielka rzeka zepsucia, która od sześciu tysięcy lat toczy swoje bagniste przez świat wody. Dobro tu, na ziemi, rośnie zawsze otoczone cierniami. To też jeżeli misyonarzowi udaje się nawracać dusze, chrzcić konających, to zwykle tylko dzięki cierpliwej wytrwałości. Trzeba nieraz odbywać dalekie i uciążliwe wędrówki pod słońcem z ołowiu, przez zarosłe wysoką trawą kręte i trudne do przebycia ścieżki, przez laguny i bagna o zabójczych wyziewach. Lecz mniejsza o te ofiary, byle się miało pociechę wysłać jak najwięcej dusz do nieba!

Od jakich dwóch czy trzech lat rzadko się już zdarza w Landanie, by murzyni okoliczni rozstawali się z tym światem nie pojednawszy się przedtem z Panem Bogiem. Częste te wycieczki misyonarza zaznajamiają z nim powoli ludność i zyskują mu wreszcie jej zaufanie. Łatwo potem powierzają nam dzieci. byśmy ich nauczyli „spraw białego".

Obecnie liczymy ich około 180, a cyfrę tę moglibyśmy z łatwością powiększyć, gdyby każdy nowy werbunek nie był dla nas przedmiotem grubych wydatków i gdyby „kasa" tak źle nie stała. Gdy się ma do czynienia z czarnymi, trzeba im zawsze wpierw *dać,* aby otrzymać przywilej poświęcania się ich najświętszym interesom; trzeba nawet opłacać usługi, jakie się im oddaje. Możnaby stąd łatwo wnosić, że czarni, szczególniej poganie, pozbawieni są wszelkich uczuć ludzkich, że nie mają serca. Ale byłby to błąd. By wspomnieć tu tylko o jednem uczuciu, które jest w wysokim stopniu rozwinięte u nich: rodzice kochają bardzo szczerą i głęboką miłością swoje dzieci, a te rodziców i mówiąc wogóle, czarni kochają wszystkich, z którymi są połączeni przez węzły rodzinne. Mamy sposobność stwierdzać to codziennie w czasie częstych nawiedzin dzieci naszych przez ich krewnych. Niema prawie dnia, aby do parlatoryum naszego pod odkrytem niebem, bez dachu i ścian, nie napływały liczne mamy, prowadząc jednego dzieciaka za rękę, z drugim na plecach i wielkim koszem na głowie, śpiesząc odwiedzić swoje kochane pieszczoty i uraczyć je smakołykami krajowymi. Jakże szczęśliwą czuje się wówczas matka, oglądając znowu swoje dziecko, znajdując je w dobrem zdrowiu, widząc, jak przybrane w „mundur" misyi, z małym krzyżykiem i medalikami zawieszonymi na piersiach, defiluje z naszymi innymi uczniami, śpiewa w kościele, lub w sutannie szkarłatnej i białej komeżce, pełni funkcye ministranta! Odwiedziny te nie pójdą jej na marne! Potem przyjdzie z mamą ojciec, bracia, oraz inni krewni. Wszyscy powrócą pod nader miłem wrażeniem — i prędzej czy później osobiste to zetknięcie z misyą, uplodnione w trakcie tego modlitwami syna i brata chrześcijanina, wyda swe owoce, zdobędzie Bogu rodziców, którzy ofiarowali Mu to, co mieli najlepszego.

Oto jak Landana stała się z latami, i dzięki wytrwałej pracy misyonarzy, ogniskiem, oświecającem dziś i rozgrzewającem dusze. To niech okaże, Czcigodna Dobrodziejko, wszystkim ofiarnym współpracownikom twego świętego dzieła, że jeżeli Pan nie zawsze zdaje się nakłaniać ku ich modlitwom, jałmużnom i ofiarom, nie powinni jednak tracić ufności. Prędzej czy później, spadnie rosa niebieska, by wzbudzić Bogu dzieci i wybranych dla nieba.

Piękna kaplica misyi, kaplica, mówiąc prawdę, bardzo skromna; piękny kościół, zawdzięcza się całkowicie pracy personelu misyi. Należy się tu zwłaszcza pochwała niezmordowanej gorliwości Braci: Arystobula, Pothin i Quintien, głównych pracowników około budowy kościoła; budynek ten przynosi im zaszczyt prawdziwy. Dobrze jest modlić się pod tem wysokiem, strzelającem ku niebu sklepieniem. A jak raduje się serce, iż dobry nasz Mistrz posiada tak wspaniałe — jak wszyscy mówią — mieszkanie! Co za kontrast z nędznemi staremi ruderami, które służą za schronienie Ojcom i Braciom misyi! Misyonarz winiem starać się przedewszystkiem o wzniesienie Bogu pałacu, niezbyt niegodnego Jego nieskończonego Majestatu, zanim pomyśli o trochę wygodniejszem mieszkaniu dla siebie samego. Teraz, gdy przybytek naszego Mistrza i Pana jest ukończony, główną troską czcigodnego Ojca Prefekta apostolskiego jest rozwalenie tych starych chat, skleconych z rozłażących się już desek, zużytkowanie z tego, co się jeszcze da zużytkować, i wystawienie dla swych kochanych misyonarzy nowego mieszkania, trochę zdrowotniejszego. Będzie to ciężki wydatek dla tak źle zaopatrzonej zawsze kieski Ojca ekonoma, ale dostarczyć misyonarzowi w Afryce zdrowego pomieszkania, jest to także kwestya oszczędności: znaczy to zaoszczędzić życie misyonarza, od którego zależy bardzo często wieczne zbawienie wielkiej ilości biednych dusz. Prefektura Niższego Konga posiada personal bardzo niedostateczny i złożony z członków, których zdrowie podkopane zbyt długim pobytem pod słońcem afrykańskiem, wymagałoby naprawy w Europie, ale dla chronienia od upadku dzieł misyi, nabrali oni odwagi i ponowili ofiarę swego życia. To też pełni ufności w potęgę Mistrza, nie szczędzą trudów i wysiłków. Niech wszystkie serca oddane pięknemu dziełu Sodalicyi św. Piotra Klawera, proszą Pana Jezusa o pomnożenie w Jego winnicy robotników tak nielicznych, by zebrać do śpichlerzy Ojca niebieskiego całą obfitość żniwa.

Wytworny kościół góruje ponad całą okolicą, spostrzega się go zdaleka. A jakże serce chrześcijańskie drży z radości, w Afryce więcej jeszcze, niż w Europie, gdy wzrok spocznie niespodzianie na smukłej, strzelającej ku niebu wieżyczce, zwiastującej, że Bóg tu mieszka: *Hic domus Dei est.*

Grunt okoliczny poświęcony jest raczej względom użyteczności, aniżeli przyjemności. Widać tu gęste plantacye kukurydzy, kartofli, fasoli, manioku i t. p. Wspomniałem o plantacyach. Pod tym względem Landana wyróżnia się prawdziwie. W Afryce ma się zwykle do czynienia z gruntem bardzo jałowym, a brak nawozu trzeba z ko-

nieczności zastępować zeschłymi liśćmi i trawą, którym się pozwala butwieć na miejscu, by módz potem posadzić sałatę, lub jakie inne jarzyny. I oto od trzydziestu czterech lat, odkąd grunt w Landanie bywa pracowicie skopany, zruszony i zasadzony, nie przestaje on wydawać obfitego co roku plonu. W porze deszczowej dwa posiewy rzuca się w tę ziemię urodzajną i, o ile nie zwarzy posucha, dzieci zbierają radośnie ich płody. Powiadam: „o ile nie zwarzy posucha", jest to bowiem klęska, nawiedzająca nas, niestety, bardzo często i obracająca w niwecz pracę naszych wychowańców. A wszakże, czy urodzaje były pomyślne, czy nie, utrzymanie całej gromadki pozostaje całkowicie na naszej pieczy.

Ale przyjrzyjcie się im przy pracy. Rozlega się dzwonek: koniec roboty. Młodzi nasi rolnicy padają na kolana, zasyłając krótką modlitwę ku niebu, które upładnia ich pracę. Rączym krokiem idą złożyć swe narzędzia. Dzwonek brzmi znowu: zaczyna się szkoła. Tę samą pilność i ruchliwość, jaką widzieliśmy w polu, odnajdujemy teraz w klasie: ba-ba, be-be, bi-bi, rozlega się w całym domu i daleko poza nim. Jako dowód ich pilności w szkole, wystarczy przytoczyć wyniki egzaminów w miesiącu lutym roku zeszłego: na 25 kandydatów przeszło 23, dwóch ze stopniem bardzo dobrym i wielu z chwalebnym. Zapał, ożywiający pracę naszych dzieci, nie opuszcza ich również w czasie nabożeństwa. Pomijając pepiniery księży, gdzie wprawne ręce kształcą z niezmordowaną cierpliwością pobożnych wychowanków Sanktuaryum w śpiewie gregoryańskim, mało się spotka kościołów lub kaplic, gdzieby Msza święta i nieszpory śpiewane były z większym zapałem. A zapał ten wzrasta jeszcze przy wielkich uroczystościach. Tak np.: na Boże Narodzenie, wielkie święto dla murzynów, podczas Pasterki o północy, pierwsza partycya Dumont'a wykonaną była wedle edycyi watykańskiej z iście niezwykłem brio. Jego Świątobliwość Pius X, byłby zachwycony słysząc, jak małe murzynięta wykonywują z takiem mistrzowstwem przepisy jego *motu proprio*, dotyczące śpiewu gregoryańskiego.

Na nieszczęście brak nam książek edycyi watykańskiej: sami tylko dyrygujący śpiewem posiadają skrócone wydanie *Kyriale;* stare wydania z Reims i Cambrai są niemożliwie streszczone. Małym naszym murzyniątkom, podobnym w tym względzie do ich rówieśników białych, potrzebaby mocnych, starodawnych pergaminów... Trzeba więc będzie zrobić jeszcze szczerbę w kiesce Ojca ekonoma, chyba że który z przyjaciół naszych murzynków przyjdzie nam z pomocą. Przyjaciele misyj dowiedzą się zapewne z ciekawością, że mistrzami w śpiewie tych dzieci czarnych są dwaj murzyni, dawni wychowańcy szkoły, dziś seminarzyści. Pragnąc nadać obrzędom religijnym więcej blasku, poświęcili się oni studyom harmonium: dzisiaj żaden krzyżyk ani *bemol* ich nie wstrzyma i z wielką łatwością transponują z jednej tonacyi w drugą. Inni seminarzyści, młodsi, idą ich śladem. Rozpoczęli studya z końcem września i oswoili się już z pierwszemi zasadami; wkrótce będą mogli akompaniować przy błogosławieństwie.

Oto, Czcigodna Dobrodziejko, jak mali Twoi protegowani w Landanie starają się opiewać chwałę Najwyższego! Wspomniałem już o seminaryum. Wiem zbyt dobrze, Czcigodna Pani, jak wielkiem zajęciem je otaczasz, bym miał o niem przemilczeć. Ale, zamykając moje uwagi o kościele w Landanie, niech mi wolno będzie wyciągnąć dłoń proszącą, żebrząc u Twej dobroci o lampę do Sanktuaryum, trochę mniej nędzną, aniżeli ta, jaka dniem i nocą symbolizuje ogień naszej miłości dla Jezusa — Hostyi.

Seminaryum! Piękne przedsięwzięcie, ale jakże trudne! Liczba powołanych jest zawsze dostateczną, ale jak mało wybranych! Bywają kwiaty tak delikatne, że pomimo najtroskliwszych starań, hodowla ich się nie udaje. Ciężkie trzeba pokonać trudności, by uwieńczyć wreszcie skroń czarnego aureolą kapłaństwa. To namiętności są zbyt silne, to swoboda i pieniądze zbyt nęcące. Ale wszystko to jest ludzkie, zatem przewidziane. To też odstępstwa nie powinny dziwić nikogo, jakkolwiek są zawsze bardzo bolesne dla tych, którzy otaczali ten kwiat, dziś zwiędły, najbardziej ojcowskiemi staraniami. Co jest jeszcze boleśniejszem, to gdy wychowanek Sanktuaryum, zacny młodzieniec pod każdym względem, posłuszny, pracowity, skromny, pobożny, znika nagle z widowni. Jeden taki wypadek zdarzył się z końcem 1906 r.

Wzorowy seminarzysta, imieniem Antonio, miał przywdziać suknię duchowną i rozpocząć studya filozoficzne. Wtem zaczyna się skarżyć na ból w oku prawem. Wkrótce potem i lewe okazuje się dotkniętem. Przerażony postępami cierpienia, Ojciec Dyrektor posyła go do doktora, który powierza pacyenta specyalistom w Loandzie. Nowiny, jakie nas stamtąd dochodzą, są bardzo smutne: Antonio jest prawie zupełnie pozbawiony wzroku. Ubolewa on nad swem nieszczęściem, ale po chrześcijańsku poddaje się woli Bożej.

Inny mały seminarzysta, uczeń czwartej klasy, który przez swe szybkie postępy w nauce i w cnocie, zyskał sobie ogólne uznanie i rokował jak najpiękniejsze nadzieje, został nagle zabrany przez śmierć, w sam dzień św. Młodzianków. Śmierć jego poprzedziła długa agonia, bardzo bolesna, ale bardzo budująca: jakie życie, taka śmierć.

Niewinny, jak oni, poszedł Francisco powiększyć liczbę młodzianków, by towarzyszyć Barankowi bez zmazy!

W Antonim i Franciszku małe seminaryum traci dwóch wyborowych uczniów. Niestety, każde wielkie dzieło wymaga ofiar. Z wysokości nieba Francisco modlić się będzie za seminaryum, gdzie go nauczono poznawać i kochać Boga, nie zapomni o swojej dobrodziejce, której imię błogosławią wszyscy seminarzyści.

Z małego seminaryum, które otworzyło właśnie swe podwoje na przyjęcie nowych ochotników, przejdźmy do wielkiego seminaryum. Od września 1906 r. mamy tam dyakona, drugiego kandydata, który już otrzymał tonsurę i ma wkrótce przyjąć niższe święcenia i wreszcie trzeciego ucznia, który w najbliższym już czasie nałoży sutannę.

Rzecz pocieszająca: wszyscy trzej pałają wielką żarliwością dla zewnętrznych funkcyj swego kapłańskiego urzędowania i oddają nam nieocenione usługi.

Dominus conservet eos!...

Do dwóch seminaryów dołączony jest postulat Braci krajowców. Zaprawiają się tu oni pod kierunkiem Ojca do rozmaitych rzemiosł, a przez swą pracowitość i zamiłowanie porządku, są dla naszej młodzieży żywym przykładem, przynoszącym swe owoce, gdyż postulat pociągnął także ku sobie nowe powołania. Oby św. Piotr Klawer wyjednał im wszystkim wytrwanie aż do końca w ich dobrych zamiarach!

Z doliny wejdźmy na wzgórze, gdzie wznosi się, ukryty poza kotarą zieleni, zasłużony zakład Sióstr Zgrom. św. Józefa z Cluny, dopełniający naszą szkołę dla chłopców. Cała gromadka młodych dziewcząt ćwiczy się tu w pobożności i pracy. Jedynem staraniem zacnych tych i poświęconych zakonnic jest wykształcić je na gruntownie cnotliwe chrześcijanki, które złączywszy potem swoje losy z którym z młodych chłopców, wychowywanych przez Ojców, stałyby się wzorowemi matkami rodziny. Przedsięwzięcie to także przedstawia wielkie trudności: ale zawsze szlachetne i ofiarne, pełne żarliwości heroicznej, jeżeli trzeba, kochane Siostry umieją przezwyciężyć wszystko. Zacna Matka Stanisława, przełożona, pomimo 35 lat spędzonych pod zwrotnikiem, nie lęka się ani palącego żaru słońca, ani nieprzebytych prawie ścieżek naszych murzynów, gdy trzeba pójść, daleko nieraz, wyrwać ze szponów jakiego okrutnego fetyszera biedne dusze, które, gdyby nie to poświęcenie macierzyńskie, opuściłyby to życie, obciążone więzami grzechu. Można powiedzieć bez obawy omylenia się, że niema chyba ani jednego murzyna w okolicy, któryby nie doznał od niej jakiego dobrodziejstwa. To też imię jej powszechnie jest poważane i błogosławione. Niewyczerpane to miłosierdzie zyskało jej przydomek: *Ma Mela bonda bona,* co znaczy: „Matka Pocieszycielka" — imię, pod którem Wielebna Matka znaną jest w kraju całym.

Bardzo często miałoby się pokusę sądzić, że serce czarnego nie jest przystępnem dla wdzięczności: ciężka choroba, jaką Matka Stanisława przebyła dwa lata temu, dowiodła jawnie, jak mylnem jest to zdanie. Wszyscy czarni byli zrozpaczeni i napływali długimi szeregami do misyi, aby zasięgnąć wiadomości o stanie zdrowia chorej. Wyzdrowienie dobrej Matki napełniło znowu niekłamaną radością wszystkie serca.

Ze wzgórza, na którem mieści się szkoła dziewcząt, skierujmy nasze kroki ku południowi. Znajdziemy się wkrótce we wsi Najśw. Serca (*Sacré Coeur*).

Idźmy dalej i zwiedźmy cztery jeszcze inne wsie chrześcijańskie, których drogi, wyciągnięte pod sznur i wysadzone drzewami owocowemi, chaty, starannie zbudowane i otoczone miłymi ogródkami, mówią głośno, że religia chrześcijańska przeszła tutaj i że ona jedna jest siłą cywilizacyjną. Tutaj to okazują się rezultaty naszych szkół i trudów wychowawczych, gdyż tutaj znajdujemy w wielkiej ilości te rodziny chrześcijańskie, stanowiące cel ostateczny, którego urzeczywistnienie

jest nieustannym przedmiotem żarliwości misyonarza. Spójrzmy na te rozbawione dzieci, jak biegną całą gromadą rzucić się w ramiona Ojca, witając go serdecznem: „breka“ (dzień dobry), podczas gdy inne, malutkie jeszcze, trzepocą się w ramionach lub na plecach swych matek.

Z każdym rokiem wzrasta ilość rodzin chrześcijańskich. W ciągu naprzykład ostatniego kwartału 1906 r., z dziesiątek chłopców i tyleż dziewcząt opuściło odnośne zakłady, ustępując miejsca, dziś już zajęte, nowym pensyonaryuszom. Połączywszy się świętymi związkami małżeństwa, osiedlili się oni w pięknych, zwiedzanych właśnie przez nas wsiach, które stanowią wspaniałe uwieńczenie pracy misyonarza.

Nic nie zdoła poprzeć lepiej powyższych uwag, jak słowa pewnego znakomitego Biskupa, żarliwego apostoła i wymownego mówcy. Zwiedziwszy misyę Landany i jej pięć wsi chrześcijańskich, Jego Przewielebność Antonio Barbosa Leao rzekł nam: „Kościół wasz jest bardzo piękny, powtarzam, ale, w gruncie rzeczy jest to tylko kamień! Daleko piękniejszą jest ta piękna gmina chrześcijańska, te liczne kamienie żywe, jakie oglądałem dzisiaj i o których zachowam niewygasłe wspomnienie.“

Ze swej strony pewna wysoka osobistość, znająca na wylot wszystkie misye terytoryum portugalskiego, uczyniła tę uwagę: „Jego Ekscelencya, X. Biskup Antonio, chce poznać *de visu* wszystkie swoje misye, lecz nie znajdzie drugiej Landany.“

WYCIĄG Z DZIENNIKA

Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Wiedeń. *Środa, 27 listopada,* o siódmj wieczorem wyjeżdżamy z moją towarzyszką z Wiednia do Rzymu.

Czwartek, 28 listopada. Wkrótce po wschodzie słońca przebywamy granicę włoską. Pomiędzy kolonią a Florencyą deszcz i słońce następują po sobie szybko na przemian, a wynikające stąd kontrasty podnoszą jeszcze malowniczość krajobrazu apenińskiego. Drzwi naszego wagonu są otwarte i napawamy się łagodnem powietrzem jesiennem. Poczynając od Florencyi, jesteśmy same i pędzimy ku Rzymowi z szybkością wciąż rosnącą. Pociąg opóźnił się znacznie, ponieważ we Florencyi czekaliśmy długo na kuryer z Medyolanu, a teraz staramy się odzyskać czas stracony. Wreszcie o kwadrans na dwunastą w nocy wjeżdżamy na dworzec rzymski, a w kwadrans później jesteśmy na via dell' Olmata. Pierwszą dla nas rzeczą jest udać się do kaplicy, przyozdobionej obrazami Najśw. Panny Dobrej Rady i św. Piotra Klawera w wieńcach kwiatów. Ostatnie róże z ogrodu woń tam roznoszą; lampka przed tabernakulum zwiastuje obecność Tego, który zdaje się nas oczekiwać; witamy Go, padając na kolana i modląc się z wylaniem głębokiej wdzięczności w zjednoczeniu z naszemi Siostrami, prawie po półrocznej rozłące! Opatrzność Boska strzegła nas i osłaniała w licznych pielgrzymkach letnich z miłością macierzyńską. Nie spotkał nas żaden wypadek, nie chybiłyśmy żadnego pociągu, nie zaskoczyła nas nawet żadna burza. Opatrzność Boska wyrównała wszystkie trudności i utorowała nam drogę do serc. Sama uczyniła wszystko, pozostawiając nam tylko radość z rozszerzenia pola działania dla naszej Sodalicyi, pracującej dla Afryki.

Rzym. — *Sobota, 30 listopada.* „Osservatore Romano“ donosi, że wczoraj express wieczorny przybył z opóźnieniem czterech godzin. Wkrótce po wyjeździe z Florencyi lokomotywa doznała znacznych uszkodzeń i trzeba było sprowadzić drugą lokomotywę z Florencyi. Panika podróżnych! Pomiędzy nimi znajdował się prezydent Izby Marcora i wielu deputowanych, wracających do Rzymu na otwarcie parlamentu. Drobne te przygody są zresztą na porządku dziennym we Włoszech. Unika się ich tylko za łaskawem zrządzeniem Bożem! Mamy doprawdy słuszną przyczynę dziękować Jego Opatrzności, czuwającej nieustannie nad nami!

Niedziela, 1 grudnia. Wizyta u Ich Eminencyj Kardynałów Gotti i Cassetta. Dzięki Bogu obaj Książęta Kościoła mają się dobrze, pomimo swych uciążliwych i ciągłych zajęć. Jego Eminencya Kardynał Gotti winszuje mi węgierskiego wydania „Echa z Afryki“. Jego Ekscellencya X. Fischer Colbrie, Biskup węgierski, wspominał o tem Jego Eminencyi. W przedpokoju Jego Emin. Kard. Cassety panuje wielki ruch.

Dnia 3 grudnia odbędzie się otwarcie włoskiego kongresu antiniewolniczego, a ponieważ Jego Eminencya raczył przyjąć honorową prezydencyę kongresu, uczestnicy jego przychodzą złożyć mu swoje uszanowanie. Jego Eminencya opowiada nam, że zainauguruje kongres w S. Carlo al Corso odprawieniem Mszy św. i odśpiewaniem *Veni Creator*, ale że na tem ograniczy się jego udział osobisty.

Wtorek, 3 grudnia. Udaję się z moją sekretarką do wielkiej sali Arcadia, gdzie zasiada kongres antiniewolniczy. Jego Eminencya Kardynał Cassetta jest obecny w otoczeniu prałatów. Przewodniczy obradom prezydent Towarzystwa antiniewolniczego, p. Tolli. Audytoryum dość liczne. Wysłuchujemy przemowy jednego prałata, który dowodzi z plastyką, właściwą Włochom, że okropności niewolnictwa hańbią wciąż jeszcze Afrykę. Zachęca do przystępowania do założonej przezeń „Ligi antiniewolniczej“. Odczytują listy pochwalne Jego Eminencyi Kard. Merry del Val w imieniu Ojca św., listy wielu biskupów i adres ministra spraw zagranicznych, p. Tittoni, który wyraża całe swe uznanie i wdzięczność Towarzystwu antiniewolniczemu.

Sądzimy, że zainteresujemy naszych czytelników, podając kilka wiadomości o Stowarzyszeniach antiniewolniczych we Włoszech.

Obok rzeczonego Towarzystwa i jego działalności z jednej strony, istnieje jeszcze „Liga antiniewolnicza“, założona przez wiceprezydenta Towarzystwa, pracująca pod jego opieką Zadanie Towarzystwa jest czysto humanitarne. Kongres brukselski w r. 1889 i kongres antiniewolniczy odbyty w Paryżu 1900 wyznaczyły włoskiemu Towarzystwu jako zadanie pracę nad wyzwoleniem murzynów na Wybrzeżu Trypolis. W tym celu Towarzystwo utrzymuje na niektórych punktach wzmiankowanego Wybrzeża swych agentów, których powinnością jest przeszkadzanie, o ile możności, sprzedaży niewolników.

Liga antiniewolnicza ma za cel główny, (przynajmniej tak sądzimy), przyczynić się do utrzymania seminaryum, założonego w dyecezyi Udine, gdzie kształcą się przyszli młodzi misyonarze..

Środa, 4 grudnia. — Nad wieczór X. Biskup Fischer-Colbrie, zaszczyca nas swą wizytą w towarzystwie swego sekretarza i X. Csiszaryk. Jego Ekscellencya interesuje się żywo nowem wydaniem „Echa z Afryki“ w języku węgierskim i chce je poprzeć całą swą władzą. X. Biskup zwiedza naszą małą kapliczkę, gdzie jest obecnym na błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem z okazyi nowenny do uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najśw. M. P., poczem obejrzawszy nasze muzeum afrykańskie żegna nas, udzieliwszy nam swego błogosławieństwa.

Czwartek, 5 grudnia. — Po południu zamknięcie kongresu w Arcadyi. W. O. Genocchi, ze Zgrom. Misyonarzy Najśw. Serca z Issoudun, przemawia z wielką erudycyą na temat: „Chrześcijaństwo, a zniesienie niewolnictwa.“

Hrabina San Marco z Turynu wygłasza mowę „o udziale kobiety w ruchu antiniewolniczym.“ Jej dar słowa jest w istocie znamienity. Następuje kilka słów przedstawiciela angielskiego Towarzystwa antiniewolniczego, potem odczytanie rezolucyj przyjętych przez kongres w sprawie zniesienia niewolnictwa w Afryce i rozkrzewienia Towarzystwa antiniewolniczego we Włoszech. Wieczorem tegoż

dnia odbył się bankiet w hotelu Minerwa, a pomiędzy innymi wznoszą toasty prezydent Tolli, hrabina San Marco i baron Du Teil.

Poniedziałek, 9 grudnia. Kongregacya Obrzędów poniosła wielką stratę w osobie O. G. Schobera, ze Zgrom. Redemptorystów, zmarłego tej nocy po krótkiej chorobie, która podkopała szybko jego ciało, wyniszczone uciążliwą i pilną pracą. Nasze małe Zgromadzenie doznało zbyt wiele dobrodziejstw od tego czcigodnego zakonnika, by nie opłakiwać szczerze jego zgonu. Nieodżałowany zmarły cieszył się słusznie u św. Kongregacyi Obrzędów, której był długoletnim konsultatorem, nader wielką powagą. Wysoką zwłaszcza była jego wiedza liturgiczna: miał też znaczny udział w redakcyi nowego zbioru dekretów św. Kongregacyi Obrzędów. Oby mnodzy święci, do których beatyfikacyi i kanonizacyi się przyczynił (św. Gerard Majella, pomiędzy innymi), stali się mu potężnymi obrońcami.

Środa, 11 grudnia. Egzekwie żałobne o wpół do dziesiątej w kościele św. Alfonsa za spokój duszy czcigodnego Ojca Schobera. Wierny sługa Boży zaniesionym został potem na Campo Verano. „Szczęśliwi, którzy umierają w Panu.“

Niedziela, 14 grudnia. Moja asystentka i ja zostałyśmy przyję na audyencyi prywatnej u Jego Świątobliwości.

Po kilku dniach deszczu mamy wspaniałą pogodę, a gdy przybyłyśmy na plac św. Piotra, bazylika ozłocona słońcem, wydawała się przedsionkiem nieba. Dwóch kardynałów i jeden biskup poprzedzili nas na audyencyi. Biło kwadrans na dwunastą, gdy Msgre Della Chiesa, przyszły arcybiskup Bolonii, wprowadził nas do Ojca św.

Byłyśmy mile żdziwione świeżością i dobrem zdrowiem Piusa X. Twarz Jego jest mniej bladą, a melancholijne spojrzenie jego niebieskich oczu zastąpił wyraz energii. Pierwsze Jego zapytanie tyczyło się mego brata, Jezuity. Potem Jego Świątobliwość pytał o nowiny o Sodalicyi. Wręczyłam Mu sprawozdanie z ubiegłego roku, które Ojciec święty przejrzał starannie, wyrażając kilkakrotnie swój podziw z powodu znacznych zebranych i rozdzielonych sum. „A więc — rzekł — to Pan Bóg je wam zsyła i to monetami po 5 i 10 centymów, nieprawdaż? Wasze dzieło jest święte, bardzo święte. Pracujcie, a Pan Bóg pozwoli wam coraz szerzej się rozkrzewiać.“ Objaśniłam, że jałmużny napływają dzięki zainteresowaniu, jakie budzą rozmaite wydania „Echa“ i że rozpoczynamy właśnie nowe jego wydanie w ósmym języku, t. j. węgierskim, dla którego prosiłam o błogosławieństwo szczególne. Jego Świątobliwość podpisał natychmiast moją prośbę:

„Juxta preces in Domino, die 14 decembris 1907.

Pio PP. X.“

Rozmowa zwróciła się ku wypadkom w Europie.

Jego Świątobliwość, interesujący się bardzo żywo postępami katolicyzmu na dalekiej Północy, mówił nam złote słowa o prawdziwym duchu apostolstwa, o pogardzie dóbr ziemskich i wielkich korzyściach ubóstwa. „Pocóż troszczyć się o rzeczy doczesne, jak gdyby nie było Boga, który wszystko zaopatrzy!

Było południe i ze wzgórza Janiculum rozległ się strzał armatni. Ojciec św. powstał natychmiast i miałyśmy szczęście odmówić wspólnie z Nim „Anioł Pański“, który zakończył trzema *Gloria Patri* i wezwaniem: „Słodkie Serce Jezusa spraw, niech Cię kocham coraz, coraz więcej.“ Potem Ojciec św usiadł znowu, kazał nam także usiąść i prowadził dalej rozmowę, aż póki nie wszedł cameriere. oznajmiając Mu kogoś. Wtedy Ojciec św. pożegnał nas, udzieliwszy Swego błogosławieństwa nam, naszym rodzinom, naszym dobrodziejom, przyjaciołom i wszystkim, których Mu poleciłyśmy.

Audyencya ta pozostanie wyrytą głęboko w sercu piszącej niniejsze słowa.



Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Filia w Wiedniu. *Dnia 11 listopada.* — J. E. Nuncyusz apostolski, książę Granito di Belmonte, zaszczycił dzisiaj w towarzystwie uditore nuncyatury, Msgr. Nicotra, naszą filię swemi odwiedzinami. Po dłuższej rozmowie z naszą Generalną kierowniczką, raczył Jego Ekscelencya zwiedzić także muzeum i wpisać się do księgi.

Dnia 15 listopada. Odczyt naszej Generalnej kierowniczki dla wychowanek pensyonatu Sacré-Coeur, które wysłuchały go z najżywszem zajęciem.

Dnia 17 listopada, niedziela. Odwiedziny W. O. Frobergera, Prowincyała Ojców Białych w Trewirze, który przybył do Wiednia na zaproszenie Generalnej kierowniczki. Odczyt jej w Kongregacyi Dzieci Maryi u WW. Sióstr Szkolnych III-go Zakonu, przy ulicy Apostołów. Po przemówieniu Generalnej kierowniczki zabrał głos obecny prezes Kongregacyi, O. Wenzl T. J., zalecając gorąco wspieranie misyj afrykańskich licznie zgromadzonym paniom i pannom.

Dnia 18 listopada. — Dzisiaj wielkie zebranie misyjne Sodalicyi św. Piotra Klawera w ramach zjazdu katolickiego.

Dnia 19 listopada, wtorek. — Przed południem udała się Generalna kierowniczka do klasztoru Sióstr Syonu (Sionsdamen). Odczyt w języku francuskim dla 150 wychowanek najrozmaitszych narodowości, oraz ich szanownych nauczycielek. Przyniesione francuskie numery okazowe, znalazły jak najradośniejsze przyjęcie.

Dnia 27 listopada. — Odjazd Generalnej kierowniczki do Rzymu.

Filia w Monachium. *Dnia 24 listopada.* — Pierwsze przedstawienie sztuki scenicznej pióra naszej Generalnej kierowniczki, hr. Ledóchowskiej, pod tytułem „Baronówna Mizzi“, zgromadziło w kasynie katolickiem widzów ze wszelkich kół społecznych. Bogata rozmaitość dramatycznych obrazów, trafna charakterystyka pojedyńczych osobistości, zapewniły sztuce świetne powodzenie. „Ludzie w niej żyją“ — powiedział jeden ze znawców. A jest to jej wielka zaleta.

Biuro ekspedycyjne w Solurze. *Dnia 17* i *18 listopada* odbył się w wielkiej sali koncertowej bazar na rzecz Afryki, urządzony z wielką zręcznością i większą jeszcze cierpliwością i staraniem niezmordowanej zelatorki i kierowniczki miejscowego biura Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Zamknięcie redakcyi 15 stycznia 1908.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk artykułów i listów dozwolony tylko z wymienieniem źródła.

Wydawca: Sodalicya Św. Piotra Kl. Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu.“



WNĘTRZE KAPLICY NAJŚW. MARYI PANNY

SODALICYI ŚW. PIOTRA KLAWERA

WIDMO GŁODU W AFRYCE.

Nowa odezwa!

„Żal mi tego ludu.“
(Św. Marek VIII, 1).

Są klęski, zdające się powracać peryodycznie w pewnych krajach i pewnych częściach świata, a co się tyczy ludu czarnego, najnieszczęśliwszego między wszystkimi, dla niego taką klęską jest głód. Dlatego, kochani Czytelnicy, nie dziwcie się, że pisząca te słowa znowu jest zmuszoną wyciągać ku Wam rękę i błagać Waszej litości, straszna bowiem ta plaga głodowa sroży się jeszcze gwałtowniej, niż kiedykolwiek.

Podobało się Bogu pobłogosławić obficie moim wezwaniom poprzednim. Wzruszył On serca i skłonił wolę, tak, że tysiące ubogich i bogatych, wszelkich klas i stanowisk, przyczyniły się swym szelągiem do zaspokojenia głodu nawiedzonych tą plagą w Afryce. Wielu z tych szlachetnych dobroczyńców doświadczyło zapewne hojnych błogosławieństw Bożych nad sobą i rodziną swoją w zamian za swe jałmużny, inni powołani zostali do Boga i cieszą się nagrodą, obiecaną miłosierdzie czyniącym, modląc się może teraz o wymowę dla słów niniejszych, by zapełnić szczerby, jakie zgon ich spowodował w szeregach naszych ofiarodawców.

O, Czytelnicy kochani! Sprawozdania i wołania o pomoc misyonarzy, powtarzające się kilkakroć w ciągu roku, czyż nie są wymowniejsze, niż wszystko, co mogłabym Wam powiedzieć w tym względzie! Czyliż możemy przypuścić, aby misyonarze katoliccy odwoływali się do miłosierdzia chrześcijańskiej Europy, nad którą zaciężyła ręka Boża i która jęczy pod brzemieniem kar, jakiemi ją dotknął Pan, gdyby nie byli do tego zmuszeni nędzą najcięższą?

Kilka ustępów z listów, otrzymanych w ostatnich czasach, przekona Was o tem.

X. Biskup Dupont, Wikaryusz apostolski Nyassy, pisze dnia 8 lipca 1907 roku:

„W tym roku szarańcza z jednej strony, a posucha z drugiej, wtrąciły murzynów w wielu misyach w głód najstraszliwszy. Trzebaby im przyjść z pomocą, a na wszystkie prośby misyonarze mogą odpowiedzieć tylko dobrem słowem — trochę to mało dla zgłodniałych. I misyonarze wspominają ze smutkiem te słowa Pana naszego: „Dzieci prosiły chleba i nie było nikogo, ktoby im dał.“

W drugim liście z dnia 1 września pisze:

„Nasi misyonarze żyją w straszliwej biedzie; wielu mieszka w chatkach murzyńskich i musi zadawalniać się niemal żywnością dzikich. Ale nic ich nie zniechęca i nie mąci ich wesela, gdyż widzą, że czynią dobro, że uczą plemiona całe znać Boga i służyć Mu.“

Pewien Ojciec Biały, z Sudanu francuskiego, pisze dnia 26 listopada 1907 roku:

„Nasze biedne owieczki będą ciężko doświadczone tego roku. Żniwo zawiodło w części i głód da się odczuć niebawem. W zeszłym roku niejeden żywił się już liśćmi i ziołami, obecnie będzie jeszcze gorzej. Ach, jakaż to nieodżałowana szkoda, że ci biedni ludzie nie znają prawdy i nie mogą zużytkować swych cierpień dla przyszłego życia!...“

O. Magelhaës, Prefekt apostolski Landany, pisze nam dnia 26 listopada 1907 roku:

„Rok 1908 zapowiada się bardzo źle i obawiam się głodu, gdyż deszcze się opóźniają. Oto jesteśmy już przy końcu listopada, a jeszcze ani kropla nie zrosiła ziemi. Modlimy się, prosimy Boga, aby zechciał zlać na nas swe dobrodziejstwa, ale modlitwy nasze muszą być bardzo letnie, gdyż dotąd nic nie uzyskaliśmy. Z ufnością w Opatrzność Bożą pozostaje nam tylko poddać się Jej świętej woli.“

Pewien misyonarz ze Zgromadzenia św. Józefa z Mill-Hill, pisze nam dnia 26 sierpnia 1907 r. z Ugandy:

„Ostatnie sześć miesięcy były dla naszej misyi czasem ciężkiej próby. Straszny głód spustoszył cały kraj Kavirondo i plemion sąsiednich. Dzięki Waszym jałmużnom, byliśmy w możności zatrzymać naszych chłopców na misyi i wyżywić ich. Nie potrzebuję Wam mówić, że są oni bardzo osłabieni.“

Pewien misyonarz z Afryki południowej, dobrze znany naszym Czytelnikom, O. Mayr, pisze dnia 29 września 1907 r.:

„Przyjdźcie nam z pomocą, błagam Was, jak najprędzej. Nędza uciska mię dotkliwie, jak również biedne Siostry Augustyanki. *Jeżeli tak potrwa dłużej, nie wiem, co się z nami stanie.* Biali znajdują się w ostatniej biedzie, a murzyni w jeszcze większej. Dzieci biegają nagie i zgłodniałe, oddając się wraz z rodzicami występkom i kradzieży dla zaspokojenia głodu. Obawiam się, że będę musiał opuścić tę piękną misyę i szkołę, bo nie mogę patrzeć na cierpienia tych dzieci. Codzień muszę odprawiać z niczem proszących o pomoc biedaków. Ta niemoc wobec tak wielkiej nędzy odbiera mi odwagę, i oto postanowiłem opowiedzieć Wam, w jakim niedostatku jesteśmy ja i Siostry!“

Pewien misyonarz zakonu OO. Benedyktynów, we wschodniej Afryce, opisuje w żywych barwach głód, srożący się od czasu rokoszu 1905 r., od tego to czasu biedni murzyni żywią się wyłącznie prawie trawą, twardymi i gorzkimi korzeniami, lub małemi zwierzątkami, jakoto: szczurami, małpkami, gąsienicami. Misyonarz ów pisze między innemi:

„Jesteśmy dopiero w październiku (1907), ale głód potrwa jeszcze długo, przed miesiącem lutym bowiem nie dojrzewają żadne płody, a poczynając od maja do listopada nie padają wcale deszcze. Wszystkie pola

są wyschłe, a olbrzymie pożary trawy po stepach wybuchają wciąż, pochłaniając opuszczone chatki. Mieszkańcy po części wymarli, po części wyemigrowali. Pewna część, wierna glebie ojczystej, wiedzie żywot opłakany. Nam, misyonarzom, serce się krwawi na widok tej klęski, dotykającej najlepszych... Dzieci zwłaszcza budzą naszą litość i wymagają pomocy, gdyż są niewinne i bezradne. *Wiele dzieci osierociało.* Mieliśmy pociechę ochrzcić wielu pogan umierających i zapewnić im tym sposobem życie wieczne."

Czytelnicy! Czyliż nie są to wstrząsające jęki nędzy? Rozlegają się one z północy i z południa, ze wschodu i zachodu, i z Afryki środkowej: wszędzie pojawia się widmo głodu i porywa swe ofiary.

Chrześcijanie! Czyż możemy zasiąść z sumieniem spokojnem i dobrym apetytem do stołu, nie opłaciwszy przynajmniej drobnej daniny dla wsparcia tylu zgłodniałych?

Nie obawiajcie się, aby jałmużny Wasze przybyły zbyt późno, nie pocieszajcie się myślą, że głód tymczasem minie! Zważcie, że głód trwa miesiącami, powtarza się często, a następstwa jego dają się odczuwać w ciągu lat całych. Zważcie, że misyonarze zaciągają podczas takich plag ciężkie długi i że Wasz szeląg pomoże im wybrnąć z trosk dotkliwych? A gdyby nawet przybył on zbyt późno dla zaspokojenia głodu, posłuży w każdym razie do budowy szkół, kościołów i kaplic, które inaczej pozostaną tylko w projekcie.

Nie żądam od Was milionów, kochani Czytelnicy! Błagam tylko o okruchy spadające z waszych stołów, dla biednych, głodnych murzynów! Proszę o jałmużnę, odpowiednią do waszych środków! Niech ten, kto ma wiele, zechce dać wiele, gdyż ten, co posiada mało, daje zawsze względnie wiele, udzielając z tego, co ma, a tym sposobem zbierzemy nie kilka milionów, ani nawet milion, ale przynajmniej kilka tysięcy franków dla zmniejszenia głodu w Afryce.

Czy żądam za wiele?

Czytelnicy kochani, przedstawmy sobie Boskiego Zbawcę, mówiącego nam z niewymownym smutkiem, jak w dniu, kiedy odszedł od Niego młodzieniec bogaty: „Jakoż trudno, którzy pieniądze mają, wnijdą do królestwa Bożego" (św. Marek X, 23) i te drugie słowa: „Łatwiej jest wielbłądowi wynijść przez ucho igielne, niż bogaczowi wnijść do królestwa Bożego" (św. Marek X, 25), a lękiem tajnym zdejmie nas wszelkie przywiązanie nieporządne do dóbr ziemskich i każdy z nas powie sobie: „Panie, czy to ja?" i będziemy szukali, czego jeszcze moglibyśmy się wyrzec, aby nie być podobnymi tym bogaczom, nad którymi litował się Zbawiciel.

Kochani Czytelnicy! Zbadajcie się, a zobaczycie, że bogaci, czy ubodzy, znajdziecie jeszcze dać z czego dla biednych głodnych w Afryce, a Jezus, wierny przyjaciel i pocieszyciel cierpiącej ludzkości, On, który, jako człowiek, litował się nad ludem: „bo nie mają co jeść", On sam uczyni Wam miłosierdzie, ponieważ byliście miłosiernymi!

M. T. Ledóchowska.

Echo z Afryki.

Cena prenumeraty w całej **Austryi z pocztą:** 1 kor. 50 hal.
W **Niemczech** — 1 mar. 20 fen. W **Rosyi** — 1 rsb.

Pisemko miesięczne, illustrowane, wydawane przez Sodalicyę Św. Piotra Klawera na korzyść misyj afrykańskich.

Błogosławione przez Ich Świątobliwości Leona XIII i Piusa X.

Echo w języku **polskim** prenumerować można w filii Sodalicyi Św. Piotra Klawera w *Krakowie:* ul. św. Anny 4; w Królestwie Polskiem w Redakcyi „Przeglądu Katolickiego", *Warszawa,* Krakowskie Przedmieście, 58.

Echo w języku **francuskim** — *Rome,* via Olmata 16, bureau de „l'Echo d'Afrique." — Prenumerata: 2 franki.

Echo w języku **niemieckim** — Sodalicya Św. Piotra Klawera, *Salzburg,* Dreifaltigkeitsgasse 12. — Prenumerata: kor. **1·50.**

Echo w języku **włoskim** — Sodalicya Św. Piotra Klawera, *Rzym,* via dell' Olmata, 16. — Prenumerata: lir. **1·50.**

Echo w języku **czeskim** — Sodalicya Św. Piotra Klawera, *Prag,* IV. 33. Prenumerata: kor. **1·20.**

Echo w języku **słoweńskim** — Sodalicya Św. Piotra Klawera, *Triest,* via Ronco 6. — Prenumerata: kor. **1.**

Echo z Afryki, wychodzące od lat 16-stu w języku polskim, jest *organem wszystkich Kongregacyj misyjnych,* szerzących wiarę katolicką w Afryce, a wspieranych przez Sodalicyę Św. Piotra Klawera wszelkimi sposobami, a przedewszystkiem datkami, jakie łaskawi Czytelnicy nadsyłają.

Pisemko to zwraca się *do wszystkich narodów europejskich,* wiarę katolicką wyznających, wszystkie bowiem mają synów walczących pod sztandarem Chrystusowym w Afryce, wszystkie też powinny śledzić okiem macierzyńskiem pochód Krzyża w tej części świata i pamiętać o bohaterskich apostołach, niosących z narażeniem życia wolność i zbawienie czarnemu ludowi.

W *Echu z Afryki* są pomieszczane zajmujące opisy obyczajów ludów afrykańskich, lub interesujące opowiadania z ich życia. Zajęcie budzące listy Misyonarzy, z *należytem uwzględnieniem* tak obfitego materyału, pierwszorzędne zajmują miejsce.

Niska cena *Echa* czyni je przystępnem dla niezamożnych nawet.

Filia krakowska Sodalicyi św. Piotra Klawera podejmuje się dostarczenia „Echa" w języku, w jakim się zażąda.

Nakładem Sodalicyi św. Piotra Klawera. — Czcionkami drukarni „Czasu" w Krakowie.